ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 23-go Września 1897. Nr. 38.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Z poszczególnych legionów wybrano niektóre kompanie albo małe oddziały, aby z uwieńczonemi chorągwiami towarzyszyły zwycięzcy przy tryumfalnym wjeździe do miasta; na wyraźny rozkaz cesarza miano nieść labarum tuż przed nim. On sam ukazał się na dzielnym rumaku, purpurowy płaszcz na ramionach, na głowie złota przepaska, w otoczeniu swoich legatów i wysokich dowódzców; senatorzy zaś i rycerze i ktokolwiek miał do tego prawo, czy to z urzędu czy z godności, postępowali albo przed tryumfatorem, albo w jego orszaku.

Tak postępował ten pochód obok mostu milwijskiego po prawym brzegu Tybru do miasta, w towarzystwie tysiącznych pochodni i nieustannych okrzyków uniesienia z ust nieprzeliczonych tłumów, witany wszędzie ogniami sztucznymi, które wszędzie z wyżyn Monte Mario i Watykanu unosiły się ku sklepieniu nieba.

Jeszcze wtedy stał, chociaż już dawno wyszedł z użycia, na pochyłości pagórka Watykańskiego ów cyrk Nerona, w którym popłynęły pierwsze krople męczeńskiej krwi chrześcian. W jego środku sterczał jeszcze wysoko obelisk, u którego stóp w ciemności nocy przyświecały cesarskiemu woźnicy żywe pochodnie z ciał chrześciańskich. Teraz on patrzał, jak owo wzgardzone imię Chrystusowe odbywało tryumfalny swój wjazd do Rzymu, a zamiast jęków konających wśród męczarni wyznawców słyszał gromkie okrzyki ich wnuków i prawnuków: »Christus vincit«. A przyjdzie jeszcze dzień, w którym ów obelisk opuści gruzy cyrku Nerona, aby opatrzony w napis »Christus vincit« i krzyż na wierzchołku, stanąć jako stróż przed grobem owego biednego rybaka galilejskiego, którego kości spoczywają w niepokaźnej grobowej kaplicy obok cyrku Nerona, a nad którego grobem później wzniósł się wspaniały tum św. Piotra, owo »niebo sięgające ku niebu«. — Obecnie stoi u tej kaplicy grobowej gromadka chrześcian, a widząc przeciągające zastępy Konstantyna obok siebie, wznoszą oni ręce ku niebu, składając Bogu dzięki. Kiedyś z loży kościoła Piotrowego, mając u stóp nieprzeliczone zastępy ludności na rozległym placu Piotrowym, będzie następca owego rybaka błogosławił te miliony chrześcian, wyciągając ręce nad nimi. Jeszcze sterczy w pełni swej świetności, zdobny w kolumny i posągi bogów grobowiec Hadryana, uwieńczony olbrzymim posągiem cesarza, a w grobowcu głęboko w urnach porfirowych, spoczywają prochy władców świata, cesarzy rzymskich. Ręce

barbarzyńskie wyrzucą na wiatr prochy cesarskie z grobów, gdy tymczasem świat cały, pokolenie za pokoleniem odbywać będzie wieki całe pielgrzymki do grobu rybaka; posąg na wierzchołku grobowca ustąpi miejsca wyobrażeniu Michała archanioła, niebieskiego hetmana w kościele wojującym, a na miejscu posągów bożków na moście elijskim, który, podobnie jak grobowiec, nie zatrzyma nawet nazwy tego, który go zbudował, staną postacie Aniołów z wizerunkami Ukrzyżowanego.

Czy Konstantyn, przeciągając w tryumfie obok Watykanu i grobowca Hadryana do Rzymu, miał jakieś niewyraźne przeczucie, że to wszystko tak kiedyś się stanie, i czy wtedy dojrzało w jego duszy postanowienie, aby być pierwszym, który przyłoży rękę do tego przeobrażenia pełnego chwały? — Takby się prawdziwie mogło wydawać, jeśli zważymy, że Konstantyn pospieszył z wystawieniem nad grobem księcia Apostołów, z użyciem do tego murów cyrku neronowego, najwspanialszej świątyni na Zachodzie, na której przedzie umieścił napis:

»QVOD DVCE TE MVNDVS SVRREXIT
IN ASTRA TRIVMPHANS,
HANC CONSTANTINVS VICTOR TIBI
CONDIDIT AVLAM.

Ponieważ pod Twoją wodzą świat nad złem
tryumfował,
Przeto zwycięzki Konstantyn tę Ci świątynię
zbudował«

Mostem elijskim wsunął się pochód w ulice miasta. Gzymsy u bram, okna, mury domów i świątyń oświetlone były niezliczonemi lampami; na płaskich dachach płonęły pochodnie a w ich oświetleniu wznosiły się z kadzielników białe kłęby kadzideł. Gromkim okrzykom tłumów płynących ulicami, odpowiadały pełne zapału wołania z dachów, opiewano Konstantyna jako »wybawcę miasta«, »założyciela pokoju«; tak samo zowią go dwa napisy zachowane na jego łuku tryumfalnym.

Jeśli zaś radość całego narodu rzymskiego z oswobodzenia z pod krwawego i twardego jarzma tyrana była powszechną, szczerą a nieudaną — to największą i najżywszą była ona bezwątpienia u chrześcian. Im to bowiem najwięcej dokuczał okrutny władca. Pomiędzy tymi, którzy na rozkaz senatu uwolnieni zostali, było wielu braci, których niejako z objęć śmierci im zwrócono na wolność. Ich nadzieje i oczekiwania, które pokładali w Konstantynie, ziściły się przez łaskawe i przyjazne przyjęcie papieża, jako też przez wybawienie wyznawców w cyrku; to też na wszystkich domach, które zamieszkiwali chrześcianie, widziano wśród świateł jaśniejący krzyż lub imię Chrystusowe; z zdziwieniem spostrzegli wierni zwolennicy starych bogów, jak wielką była liczba chrześcian, mimo niszczących i krwawych prześladowań, które Kościół rzymski przetrwać musiał.

Obok teatru Pompejusza postępował uroczysty pochód wielkim łukiem naokoło Kapitolu i Palatynu, schodząc następnie koło Koloseum ulicą świętą, »via sacra« przez łuk tryumfalny Tytusa do Forum.

W pobliżu łuku tytusowego, na wysokiej estradzie otaczającej plac przed świątynią Romy, oczekiwały Irena i Walerya według umowy z Kandydem na zbliżający się pochód; aczkolwiek Rufin pragnął gorąco przyłączyć się do nich, jednak ze względu na chłodne nocne powietrze nie można było chorego wystawiać na niebezpieczeństwo.

Zawiadowca pałacu lateraneńskiego kazał zanieść obie niewiasty do oznaczonego miejsca w zamkniętej lektyce przez kilku niewolników germańskich w towarzystwie i orszaku małej liczby przesłańców. Od czasu, gdy Kandydus się oddalił, orzeźwiły się one kąpielą, przywdziały świąteczne szaty i spożyły przygotowaną wieczerzę. Oczywiście nie tyle cielesne orzeźwienie, ile raczej radość i szczęście przepełniające ich serca, zatarły na ich obliczach ślady przebytych cierpień.

W miejscu, gdzie oczekiwały pochodu, widziały wysokie zabudowania Palatynu, które, o ile to było możliwe w tym pospiechu, oświetlone były tysią-

cem lamp i świateł aż do ganków u świątyń i gzymsów pałacowych; po prawej stronie wznosił się łuk tryumfalny Tytusa wraz z złotym zaprzągiem czterokonnym na szczycie; po lewej stronie w głębi doliny leżało Koloseum.

— Widzisz — rzekła Irena, wskazując ręką w stronę ciemnej masy olbrzymiego amfiteatru, — widzisz tam w arkadach cisnące się tłumy ludu? Tyłem zwrócone do areny, na której przyglądały się z dziką rozkoszą i ślepem okrucieństwem męczeńskiej śmierci chrześcian, czekają teraz, aby oglądać tryumfujące znamię Chrystusa, odbywające uroczysty wjazd do stolicy świata.

— Właśnie myślałam nad tem — odparła Walerya — że w przeciwieństwie do łuku tytusowego poświęconego zwycięstwu Rzymu nad Jerozolimą i żydostwem, należałoby także wystawić łuk tryumfalny Konstantynowi, który oznajmiałby światu o zwycięstwie Krzyża nad Rzymem i pogaństwem. I zdaje mi się, że żadne miejsce nie byłoby tak odpowiednie, jak właśnie owo Koloseum, w którem męczennicy walczyli o zwycięstwo dla Krzyża.

— A cóż chciałabyś wymyśleć w przeciwieństwie do Palatynu?

— Cóż możnaby słuszniej przeciwstawić wspanialszego i godniejszego pałacom Cezarów jak dom, w którym Król niebieski w swoim Sakramencie i przez widzialnego namiestnika swego błogosławi Rzymowi i całemu okręgowi ziemskiemu? — odpowiedziała Walerya.

Radosne okrzyki ludu i odgłosy trąb przerwały tę rozmowę: pochód się zbliżał. Z arkad Koloseum, z okien Palatynu, z galeryi świątyń i pałaców witały zwycięzcę okrzyki tysiąców, tysiące pozdrawiały go, wyciągając ręce, powiewając chustkami, rzucając wieńce i kwiaty. Młodzież uliczna wdrapywała się nawet na ramiona posągów bożków, wołając »Tryumf«. Za niosącymi pochodnie postępowało wojsko z uwieńczonymi odznakami polowymi; chrześciańscy wojownicy po większej części przyozdobili swoje tarcze imieniem Chrystusa.

Oczy obu niewiast szukały wśród tego uroczystego pochodu tylko jednego, a to Kandyda. Jakże rozradowało się serce matki, gdy Walerya pokazała jej w oddali zbliżające się labarum, gdy potem jej najukochańszy syn coraz bardziej się przybliżał, na czele swoich wojowników, niosąc w ręku chorągiew tuż przed wozem tryumfalnym Konstantyna! Teraz jego bystre oko spostrzegło także dwie drogie niewiasty, i podczas gdy Irena i Walerya rzucały mu wieńce i kwiaty, to on zwrócił na chwilę labarum z jaśniejącem imieniem Chrystusa z pozdrowieniem ku niewiastom. To, że go widziała jego matka i Walerya, cenił sobie wyżej niż wszystkie okrzyki i oklaski niezliczonych tłumów.

Gdy wspaniały młodzian znikł im z oczu za łukiem tryumfalnym Tytusa, a Irena zwróciła się do Waleryi z jakiemś pytaniem, dziewica była tak zamyślona, że Irena musiała pytanie swoje powtórzyć.

W świątyni Zwycięztwa u stóp Kapitolu czekał senat na nowego cesarza, aby według odwiecznego zwyczaju przez tak zwane prawo królewskie, »lex regia« potwierdzić i uświęcić go w nowej godności. Była to tylko czcza ceremonia, tak jak prawie całe państwo zupełnie było skostniało, ale roztropny Konstantyn nie gardził temi fraszkami, w których »ojcowie patrycyusze« sobie podobali. Z spokojem pełnym godności wysłuchał długiego i męczącego panegiryku, w którym najbieglejszy w mowie z senatorów witał zwycięzcę wśród przesadzonych pochwał i przymileń. Następnie cesarz odbył przez Forum wjazd do swego pałacu palatyńskiego. Pod pozorem, że już godzina spóźniona, pominął odwiedzenie świątyni Jowisza i Kapitolu, aby nie składać bożkom dziękczynienia. Już poprzednio niemile to uderzyło senatorów, którzy po większej części byli jeszcze bałwochwalcami, że Konstantyn nie złożył zwykłej ofiary kadzidła na ołtarzu Wiktoryi (Zwycięstwa), pod której wezwaniem senat zwykle odbywał swoje narady.

Symmachus w wściekłym gniewie trzymał się przy powitaniu zwycięzcy w pewnem oddaleniu; nie mógł się też przezwyciężyć, aby iść w jego orszaku aż do Palatynu. Z gniewem, goryczą i wstrętem stał samotny u bram świątyni Zwycięstwa, spoglądając złowrogo na jaskrawo oświetlone Forum i ruch panujący wśród gwarnej wesołości ludu.

Wtem zbliżył się do niego Laktancyusz; starzec przypatrywał się wśród tłumów ludu wejściu Konstantyna do kuryi senatu, a gdy cesarz w orszaku senatorów i wśród okrzyków ludu udał się do Palatynu, wtedy Laktancyusz został w tyle, aby wśród ciszy nocnej zająć się własnemi myślami. Przed dziesięciu laty odbywał także Dyoklecyan wjazd do tej samej świątyni Zwycięstwa i tam zapowiedział senatorom, że nie chce prędzej umrzeć, dopóki zupełnie nie wytępi chrześciaństwa; w pięć lat potem, gdy polały się potoki krwi męczenników, odczytano w tej samej świątyni dokument abdykacyjny, przez który Dyoklecyan zrzekł się korony. Dzisiaj żył on jeszcze, złamany na ciele i duchu w odosobnieniu na wybrzeżu Dalmacyi; — gdyby on tak mógł być w ten wieczór w Rzymie, aby oglądać to zwycięstwo chrześciaństwa nad pogaństwem!

Zmęczony długiem staniem, wszedł starzec po schodach świątyni w górę; chciał tam sobie usiąść, aby w spokoju módz powodzić oczyma po różnobarwnem i ruchliwem życiu na Forum, a duchem pobujać w przyszłości, w dalszych losach Rzymu pod berłem cesarza chrześciańskiego i pomyśleć o dalszym rozwoju Kościoła, gdy Konstantyn uwolni ręce jego z krwawych edyktów.

Wszedłszy po schodach świątyni do góry, zdziwił się on niemało, spostrzegłszy tam Symmacha, który z założonemi rękami, oparty o słup stał w ponurem zamyśleniu.

W pobożnej nadziei, że dawnego swego ucznia zastanie pod wrażeniem tak poważnych wypadków w zamyśleniu nad błędami pogaństwa, zbliżył się do niego i pozdrowił go uprzejmie.

Gdy senator spostrzegł starca, wtedy czoło jego zachmurzone zasępiło się jeszcze bardziej.

— O wy skryci wrogowie państwa — rzekł z goryczą — jak wy się teraz cieszycie nad zwycięstwem, które jest największem nieszczęściem, jakie spotkało Rzym. Ale jeszcze nie wasza wygrana! Jak długo Rzym stoi, to każdy tryumfator składał nieśmiertelnym bogom dzięki na Kapitolu, — a tymczasem Konstantyn nawet Wiktoryi, bogini zwycięstwa nie złożył ofiary: ta zbrodnia nie może ujść mu bezkarnie!

— Jeśli ty lżysz nas chrześcian jako wrogów państwa — odparł Laktancyusz spokojnie — to powiedz mi, kiedy się zbuntowaliśmy przeciwko tym nawet cesarzom, którzy nas najsrożej uciskali? Modliliśmy się jako wierni poddani za nich i za całe państwo, a nadzieję położyliśmy w Bogu. Nazywasz dzień ten nieszczęsnym dla Rzymu, a ja cieszę się, że więzienia się otwierają, że miecz katowski idzie na spoczynek, a najbezecniejsze tyraństwo samozwańca skończyło się. Jeżeli zaś bogowie twoi okazali swoję bezsilność w obec tego znaku, który Konstantyna poprowadził do Rzymu, to Chrystus bronić będzie cesarza i nadal przed ich zemstą; gdyż cóż przemogą złe duchy przeciw wszechmocnemu Bogu? Zaprawdę, jeżeli nie ty, to syn twój niezawodnie dożyje tego, że posąg bogini zwycięstwa usunięty zostanie z senatu, a posągi bogów o tyle mieć będą wartość, o ile jako piękne dzieła sztuki zasługiwać będą na zachowanie i ocalenie z pośród ogólnego zniszczenia pomników bałwochwalczych.

— Gdy motłoch dojdzie na chwilę do władzy i potęgi staje się od razu hardym i zuchwałym — odrzekł Symmach z wyrazem najgłębszej pogardy.

— Twarde twoje słowa uniewinniam wielkiem rozgoryczeniem — mówił starzec dalej; gdyż oto prawda po trzechsetletnim ucisku wychodzi zwycięsko. Nie pierwszy to zresztą dzień, w któ-

rym świat przekonuje się o boskości chrześciaństwa i o błędach, w których brodził. Czyż oddawna już nie zapadają się i nie porastają mchem wasze świątynie i schody, gdy tymczasem posągi bogów powleczone są pajęczyną? Czemuż to tak konwulsyjnie czepiasz się trupa i obstajesz przy zabobonie, który w przyszłem pokoleniu istnieć już tylko będzie wśrod ciemnego motłochu?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RANEK W GÓRACH.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza
I tak rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza
Na krawędziach skał osiada.

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocy ciemnych snów zbudzony,
Jakiś jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

I blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli,
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przezroczystem;

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny,
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza,
Gra przelotnych barw i cieni,
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone tak kobierce
Dzwoniąc idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta...
Dusza wybiedz chce oczyma,
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Adam Asnyk.

MORZE ŚRÓDZIEMNE.

Położenie morza Śródziemnego jest nader wielkiej wagi; łączy ono trzy wielkie kontynenty starego świata Europy, Azyi i Afryki a z nimi i trzy szczepy: aryjski, semicki i berberyjski. Gdyby ono nieoblewało brzegów tak rozmaitych lądów jak Egipt i dzielnice Kartaginy, Fenicyi i Azyi mniejszej, wreszcie Hellady, Włoch i Hiszpanii; gdyby nie ten pośrednik olbrzymi, który miarkuje warunki klimatyczne krajów przybrzeżnych a przystęp do nich ułatwia, dźwiga statki, umożliwia wymianę wzajemną płodów gleby i myśli: wszyscy mieszkańcy Zachodu żylibyśmy może dotychczas w barbarzyństwie pierwotnem, a przynajmniej nigdyby tak szybko cywilizacya w tych stronach

niewzrosła i nie wydała tak pożądanych dla ludzkości owoców. Wszyscyśmy się usadowili około morza, jak żaby około błotnistej kałuży, powiedział Plato i w istocie wszystko, co było zdala od jego brzegów przez długi czas istniało do umysłowego życia niepowołane, albo było ludem upadłym i barbarzyńskim.

Mimo, że w czasach przedhistorycznych różną a mianowicie obszerniejszą była jego powierzchnia, łączyło się bowiem z morzem Kaspijskiem i Północnem, a prawdopodobnie wypełniało przez Syrtę obszary puszczy Libijskiej i Sahary, dziś zaledwie zajmuje przestrzeń 6 razy większą od powierzchni Francyi, dzieląc się na rozmaite zbiorniki, także różnej wielkości i różnej natury. Na Wschodzie Morze Czarne z Azowskiem i Marmora wcale ma inny charakter, niż Egejskie zasłane mnóstwem wysp i wysepek a nastrzępione skalistem wybrzeżem Grecyi i Małej Azyi. Adryjatyk wcisnął się pomiędzy dwa półwyspy, stanowiąc dla siebie jakby odrębną całość; właściwe zaś morze Śródziemne dzieli się jeszcze na dwa zbiorniki, któreby można nazwać przez wzgląd na dzieje morzem fenickiem i kartagińskiem albo greckiem i rzymskiem; wreszcie każdy z tych zbiorników przepołowiony jest na dwie części: pierwszy przez Kretę a drugi przez Korsykę i Sardynię. Żadne z mórz śródziemnych ziemskiego globu przy tak małym obszarze nie przedstawia tak bogatego poziomego rozwinięcia, żadne nie może poszczycić się stósunkowo tak długą linią swoich brzegów, cóż więc dziwnego, że przodować musiało wszystkim innym swoją rolą w historyi. Lecz jeźli tak rozmaite i niepodobne do siebie pod względem poziomego rozwinięcia są jego części składowe, o ileż więcej odmian przedstawiają nam stósunki odnośnie do głębokości. Morze Azowskie zasługuje w istocie na miano »bagna«, jakie mu nadali starożytni, gdyż okręt masztowy nie mógłby w niem zatonąć bez śladu. Morze Czarne w najgłębszych miejscach przyjmuje wprawdzie sondę na dwa kilometry, ale za to z Marmora łączy się za pośrednictwem cieśniny płytszej od wielu rzek, a nawet zagłębienie samego Marmora jest drobnostką w porównaniu wielu lądowych jezior. Dardanele podobnie jak Bosfor są prostem rzecznem łożyskiem.

W morzu Egejskiem i we wschodnim zbiorniku właściwego Śródziemnego morza, nierówności dna są proporcyonalne do wyniosłości ziem okolicznych i wysp sterczących ponad wodą. W okolicy Cyklad, około stromych wysp, znajdują się doły i jamy na 500 do 1000 metrów, gdy tymczasem od wybrzeża Egiptu dno morskie pochyla się nieznacznie ku środkowej głębiznie syryjskiej, wynoszącej do 3000 metrów. Są to już prawie oceaniczne przepaści, lecz na wschód od Malty sonda wykazała zagłębienie blisko 4 kilometry wynoszące, tak że najniższy punkt śródziemnego naczynia przypada prawie w jego geograficznym środku. Gdyby wszystkie wody tego bassenu utworzyły kulę, wynosiłaby ona 140 kilometrów średnicy a spadłszy na ziemię, nie zakryłaby Szwajcaryi. Morze Jońskie jest wyraźnie odgraniczone od Adryatyckiego podwodnym wałem w kanale Otranto, a jeszcze lepiej odgraniczają takowe od zachodu mielizny, ciągnące się pomiędzy Sycylią a Tunetanią, tworząc podmorski wał do poziomu wód wielce zbliżony, o którym już Strabo wspomina. Stanowi on rzeczywiście przedział morza Śródziemnego na dwie części, między którymi znajduje się jedyne przejście i to nie głębsze nad dwieście metrów.

Zbiornik zachodni mniejszy i płytszy ma przecież przepaści przeszło na 2000 metrów, w Tyrenejskiem na 2,500 a w Balearskiem nawet do 3000 sięgające, poczem dno morskie zwolna podnosi się ku cieśninie Gibraltarskiej, która ze względu na głębokość, nie leży między Gibraltarem a Ceutą, gdzie sonda zanurza się do 1000 metrów, lecz dalej na zachód, gdzie się już wody szeroko po Oceanie rozlały. Morze Śródziemne ma przypływ i odpływ, jakkolwiek w różnych okolicach wielce różny; najsła-

biej dostrzega się tego zjawiska na morzu Czarnem. Natomiast morze Śródziemne nie posiada stałego normalnego prądu, któryby jednostajnie całą masę jego wód poruszał; najznakomitsi obserwatorowie przekonali się, że wszystkie prądy są tylko częściowe i lokalne będące skutkiem albo napływu wód z Atlantyku albo skutkiem wiatru, albo skutkiem zbytecznego przyboru wód rzecznych lub nadmiaru ewaporacyi. Najwidoczniejszym i najdokładniej zbadanym prądem jest ten, który unosi wody morza Azowskiego ku Czarnemu przez cieśninę Jenikale a z tego ku Egejskiemu przez Bosfor, Marmora i Dardanele. Skutek to wlewu potężnych wód stepowych i Dunaju, archipelag jednak i Marmora zwracają Euxynowi w odwecie przez prądy wsteczne głębsze i prądy przybrzeżne pewną ilość wody słonej w zamian za słodką, inaczej bowiem trudnoby nam było zrozumieć, dla czego morze Czarne jest jeszcze słone, gdyż od nieznanej epoki, w której przestało się komunikować z Kaspijskiem i Północnem, wody jego musiałyby się stać już dawno słodkiemi. Podobnie widocznym jest stały przypływ wód z Oceanu Atlantyckiego, który wylewa przez Gibraltar rocznie warstwę wody, grubości więcej jednego metra, aby nagrodzić ubytek dwumetrowej warstwy, dokonany przez parowanie na całej powierzchni. Ponieważ deszcze zwracają tej wody rocznie warstwę pół metra wynoszącą, dopływy zaś rzeczne zaledwo warstwę 25 centymetrów, więc Atlantyk dzielić się musi masą swej wody i to o wiele wyższą od masy wód otrzymywanych od Amazonki podczas przyboru.

Pomimo ciągłego mięszania się wód, należących do różnych zbiorników morza Śródziemnego, to jednak stopień słoności nie wszędzie jest jednakowy. W ogóle morze Śródziemne ma więcej procentu soli, niż Atlantyk a morze Czarne o połowę, mniej niż główne zbiorniki. Co do temperatury prawa jej rozkładu są tu różne od praw na Atlantyku. W Oceanie prądy krążą swobodnie przynosząc z sobą pod wszelkiemi szerokościami geograficznemi warstwy wodne różnego pochodzenia, już to podzwrotnikowe już podbiegunowe, ale te warstwy nierównej gęstości układają się do równowagi prawidłowo w stósunku do swej temperatury: na powierzchni ciepłe, im głębiej tem zimniejsze. W morzu Śródziemnem podobny układ warstw wody zauważono tylko do głębokości 200 metrów t. j. tej, jak grubym jest prąd wpadający z Atlantyku przez cieśninę Gibraltarską. Zanurzony termometr głębiej nie wskazuje niższej temperatury, olbrzymia masa wody prawie nieruchomej niżej 200 stóp okazuje aż do ostatnich przepaści 12 do 13 stopni Celsyusa, z wyjątkiem okolic przywulkanicznych.

Z tych też powodów głębie morza Śródziemnego są w porównaniu z tonią Oceanów prawdziwemi pustyniami, gdyż brak tam istot żyjących. Najwięcej życia jest w okolicy Sycylii i to pod zwierzchnią warstwą wód. Z 8000 gatunków mięczaków ledwo 30 jest pochodzenia nie Atlantyckiego, przybyłych dawnemi drogami z morza Indyjskiego przez Suez. Ryb jest 4448 gatunków, lecz ich obfitość maleje ku wschodowi. Do przybyszów należą rekiny i wieloryby, tudzież tuńczyki, których połów odbywa się na morzu Tyrenejskiem, podobnie jak sardynek. Największą korzyść przynosi połów korali na zachodzie i gąbek na wschodzie, obok soli, jaką wydobywają mieszkańcy wybrzeży na całej granicy tego wodnego naczynia. Chociaż czynność ta odbywa się w sposób bardzo pierwotny, dostarcza jednak tego minerału milion ton rocznie, czyli 20 milionów centnarów.

To i owo z chemii.

Chemia jest podstawą nauk przyrodniczych.

Kto o chemii nie ma pojęcia, temu bardzo wiele rzeczy jest zagadką, ten bardzo wiele zjawisk w przyrodzie i życiu wytłómaczyć sobie nie zdoła, wielu korzyści z nauki tej wynikających, odmówić sobie musi, albo, jeżeli je ma, bez świadomości rzeczy z nich użytkuje.

— Ale to nauka trudna i mozolna — pomyśli niejeden.

— Ani zbyt trudna, ani mozolna, za to bardzo zajmująca.

Gdźie się tylko obrócimy, tam wątek tej nader wdzięcznej przędzy zadzierżgnąć można, bo n. p. oddychanie nasze, nasze odżywianie się, rozrost roślin, życie zwierząt, nasza krew, nasz mózg, kamienie, woda, zgoła wszystko na świecie jest przeniknięte krótszym lub dłuższym szeregiem chemicznych, nieustających albo minionych zajść i działań.

Chemia jest właściwie nauką o pierwiastkach wszechrzeczy, to jest, chemia nas uczy, z których poszczególnych ciał czyli materyi każde ciało się składa.

Gdybyśmy mogli to, o co tu chodzi, czytelnikom uwidocznić, jak się to już po bardzo wielu zakładach dziś dzieje, wieleby się na czasie i na gruntowności rzeczy zyskało.

Możnaby n. p. pokazać naocznie, że nasza sól kuchenna z dwóch składników jest złożona: jednego lotnego, żółtozielonawego, drażniącego płuca, gdy go wdychamy a nazywającego się c h l o r e m. Drugi zaś nazywa się s o d e m, jest metalem, a chociaż to metal, krajać go jak wosk można, pływa, tląc się po wodzie, gdy ta nieco ciepła, rozpuszcza się w niej i tworzy dobrze znany ług.

Starożytne ludy, nawet te, które się cieszyły znaczną oświatą, tylko o tyle potrącały o chemią, o ile przerabiały kruszce lub trudniły się wyrabianiem niektórych farb, szkła, kiszeniem roślinnych soków i t. p. Dopiero w czwartem stuleciu po Chrystusie dostała się z Egiptu do Europy wiadomość o tajemniczej jakiejś sztuce, c h e m i a, później alchemia zwanej, która to sztuka za zadanie sobie wzięła, metale nieszlachetne przemieniać w szlachetne, a mianowicie w złoto i srebro za pomocą pewnego środka, którego z wielką pilnością szukano. Za pomocą też środka tego, w rozczyn zamienionego, chciano wszystkie choroby leczyć, starość odmładzać i życie przedłużać.

Po zdobyciu Egiptu przez Arabów przeszło do tychże szukanie owego osobliwszego środka, a następnie do Hiszpanii, do Francyi, do Niemiec i innych europejskich krajów. Trudniących się tą sztuką i nauką zwano a l c h i m i s t a m i, ale też a d e p t a m i.

Szczególnie książęta niemieccy, zubożali średniowiecznemi wojnami, sprowadzali na dwory swoje a d e p t ó w: »złota i złota!« wołając. A d e p c i przecież nie dopisali w żadnym względzie i szczęśliwi byli ci z nich, którzy w ucieczce znaleźli bezpieczeństwo: jak np. pewien aptekarz z Berlina, Böttcher nazwiskiem. Tego miał ówczesny pruski król Fryderyk I w podejrzeniu, że nareszcie posiadł sztukę zamieniania metali i kazał go mieć na oku, ku swoim alchimistycznym celom użyć go podobno postanowiwszy.

Aptekarz ów, zmiarkowawszy to, uszedł skrycie do Drezna i tu wyznał, że nigdy złota robić nie potrafił. Za to po rozmaitych próbach i doświadczeniach, niezawodnie szukając, czego powszechnie alchemiści szukali, wyrabianie porcelany odkrył (1704). Odtąd słynie saska porcelana, bardzo cenną gałąź przemysłu stanowiąc. Prócz saskiej do najprzedniejszych tego rodzaju wyrobów należy porcelana francuska i berlińska.

Już w 16-tym wieku przeszła chemia i do rąk lekarzy, a więc w najwłaściwsze ręce. Najpierwszym, który zasłynął na tem polu, był uczony niemiecki Paracelsus, także Bubastusem

zwany. Każdą on chorobę za wynik fałszywej mięszaniny pierwiastków wszechrzeczy uważał i chemicznemi ją środkami zwalczał.

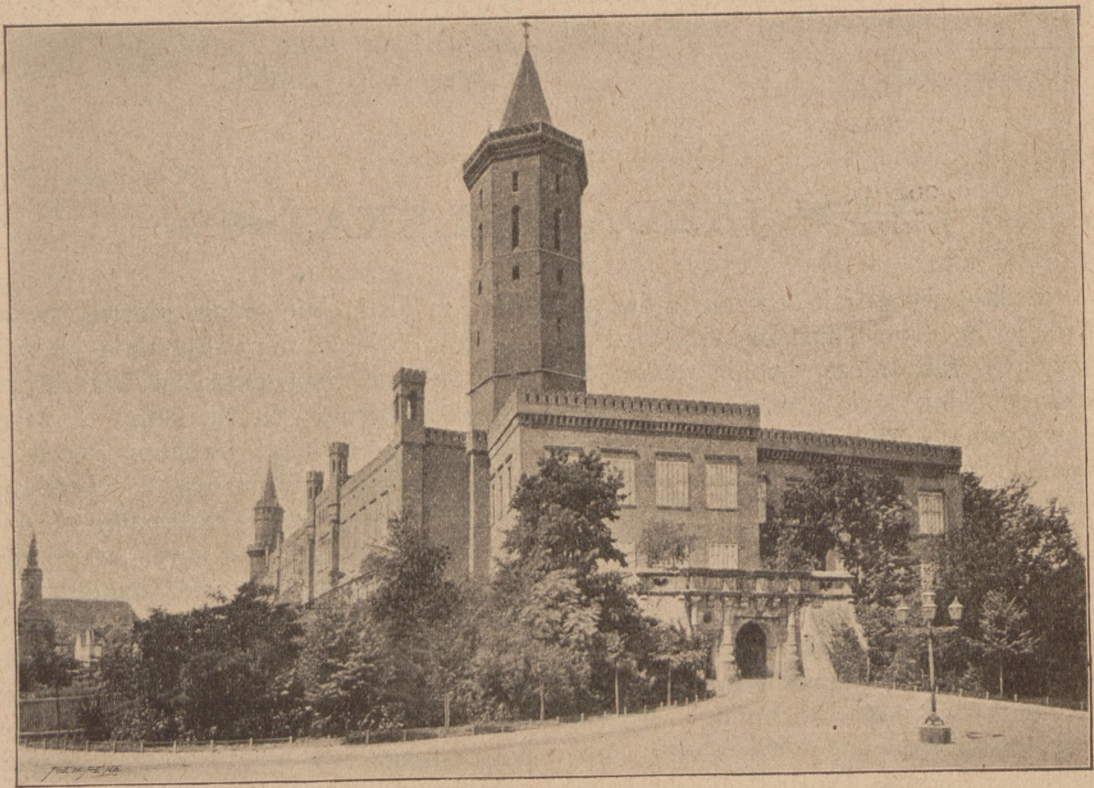
Rezultaty, które Paracelsus osięgał, były zdumiewające. Jeszcze po dziś dzień są niektóre jego lekarskie środki w używaniu. On to wprowadził chemię do aptek, zalecając lekarzom powrócenie do obserwowania chorób i do opierania się przy leczeniu na doświadczeniach. Rodził on się w Szwajcaryi, w Kantonie szwyckim. Wykładał nauki przyrodnicze w Bazylei.

Inni najznakomitsi pracownicy w tej dziedzinie nauk byli Anglicy: Boyle, Cavendish i Priestley i francuz Lavoisier.

W najnowszym zaś czasie wzbogacili chemię w wysokim stopniu badaniami swojemi Faraday w Londynie, Dumas w Paryżu, Hofmann w Berlinie i Liebig w Monachium.

Z Polaków zasłynął jako chemik Jędrzej Śniadecki, młodszy brat Jana, obaj urodzeni w Żninie w Wielk. Ks. Poznańskiem. Starszy znany był jako matymatyk.

O młodszym, chemiku, profesor Nehring w swym »Kursie literatury polskiej« tak pisze: Kształcił się w Trzemesznie, a potem w Krakowie, gdzie za pilność odebrał od króla Stanisława medal srebrny z napisem: Diligentiae; przez trzy lata słuchał medycyny w Krakowie, a dokończył tego studyum w Padwie, gdzie po dwóch latach pobytu uzyskał stopień doktora medycyny i filozofii. Z Włoch udał się przez Szwajcaryą i nadreńskie okolice do Londynu i do Edinburga, i tu przestając z najuczeńszymi mężami, odwiedzając lazarety i pracując bez ustanku, wydoskonalił się w wysokim stopniu w medycynie. Wracając z Londynu, gdzie kilka miesięcy się zatrzymał, zabawił przez rok cały w Wiedniu, zwiedzając lekarskie zakłady tej stolicy.



Widok zamku Piastowskiego w Lignicy. (Obacz objaśnienia rycin na str. 607).

»Tak wzbogacony nauką w czasie kilkaletnich podróży otrzymuje zaszczytne powołanie na profesora chemii do uniwersytetu wileńskiego. W r. 1797 rozpoczął lekcye i odtąd przez 25 lat wykładał przy tej szkole chemią i farmacyą,*) a kiedy w roku 1828 wziął uwolnienie od służby, ledwie dwa lata miał wypoczynku, bo akademia wileńska powołała go na profesora kliniki i w tym też urzędzie pozostał aż do śmierci, która nastąpiła r. 1838.

Jako autor zasłynął Jędrzej Śniadecki nietylko w Polsce, ale w całej Europie bardzo znakomitem dziełem swojem »Teorya jestestw organicznych«, nad którem już w Edinburgu zaczął pracować, a które wyszło dwukrotnie.

Już poprzednio sławę mu zjednała książka pod tytułem: Początki chemii, w której on pierwszy zrobił początek słownikarstwa polskiego, gdyż nie było wtenczas w języku polskim wcale jeszcze wyrazów na oznaczenie pierwiastków chemicznych.

Oprócz tego pisał też Jędrzej Śniadecki pomiędzy innemi »O fizycznem wychowaniu dzieci«. Ta właśnie praca była przez publiczność przyjęta z żywą wdzięcznością.

*) Sztukę aptekarską.

JAZDA POLSKA.

Jazda polska, jak słusznie mówi piszący jej historyę Konstanty Górski, była główną i zasadniczą bronią w wojsku polskiem. Jej krwią i męztwem zdobyte są wszystkie zwycięstwa Polaków w dawnych wiekach. Jazda polska nietylko, że wypełniała z odznaczeniem zwykłe zadanie swej broni, ale oblegała twierdze, jak Psków w roku 1581, broniła ich od oblężenia, jak pod Chodkiewiczem w Inflantach, brała udział w szturmach do obozów ufortyfikowanych, jak w roku 1673 pod Chocimem. Ona też za wojen szwedzkich uratowała od zguby tonącą prawie Polskę. Ona — jak to przyznał nawet sławny Prusak Moltke, spoglądając na Wiedeń z wieży św. Szczepana — ocaliła pod wodzą Sobieskiego chrześciaństwo od niewoli pogańskiej. Oswobodzenie Wiednia było ostatnim wielkim czynem jazdy polskiej.

Historyę jazdy polskiej dzieli Konstanty Górski na 4 wybitne okresy, odpowiadające mniej więcej czterem wiekom od XV do XVIII, zaczynając okres pierwszy od roku 1410, czyli bitwy pod Grunwałdem. O dawniejszych czasach pan Górski nic nie pisze dla braku materyału archiwalnego do dziejów jazdy w Polsce. Nie idzie wszakże za tem, aby ta jazda nie miała pierwej swoich dziejów. Rok 1410 był datą jej zwycięstwa nad największą w świecie potęgą militarną, którą stanowił zakon Krzyżacki, będący kwiatem rycerstwa całej zachodniej Europy. Rycerstwo, które takiego czynu dokonało, musiało mieć przeszłość i tradycye swego powołania. Jakoż istotnie tradycya ta brzmiała już echami wypraw Chrobrego z przed czterech wieków. Kadłubek mówiąc o buncie Masława przeciwko Kazimierzowi, wnukowi Chrobrego, wzmiankuje o zebraniu przez Masława »najwprawniejszych lancowników, nie licząc w to łuczników, procarzy, halabardników, szabelników, ludzi w szerokie uzbrojonych miecze i wielkiej liczby konnych i pieszych.«

O wojskach konnych i pieszych zaświadczają kronikarze przy każdej wojnie. Tak książęta: Mieczysław, Bolesław i Henryk, gdy w roku 1146 ruszyli przeciw bratu Władysławowi do Krakowa, mieli wojska »konne i piesze«. Bolesław Kędzierzawy wyprowadza w r. 1167 przeciw Prusakom wojska »konne i piesze.« Długosz podaje, że Bolesław Pobożny, książę kaliski, w wieku XIII posiadał doświadczone i ćwiczone w boju

wojska konne i piesze a sam odznaczał się świadomością sztuki wojennej, czego dowiódł w wielu wojnach, np. dopomagając księciu pomorskiemu Mszczujowi do odebrania Gdańska Sasom. Król Jagiełło posłał Witołdowi idącemu w r. 1408 na wyprawę moskiewską, posiłki, złożone z pięciu chorągwi polskich liczących razem 1000 kopijników. Bitwa pod Grunwałdem, powiada Górski, była szczytem rozwoju pospolitego ruszenia i najwyższym rozkwitem ducha bohaterskiego w całej masie polskiej szlachty.

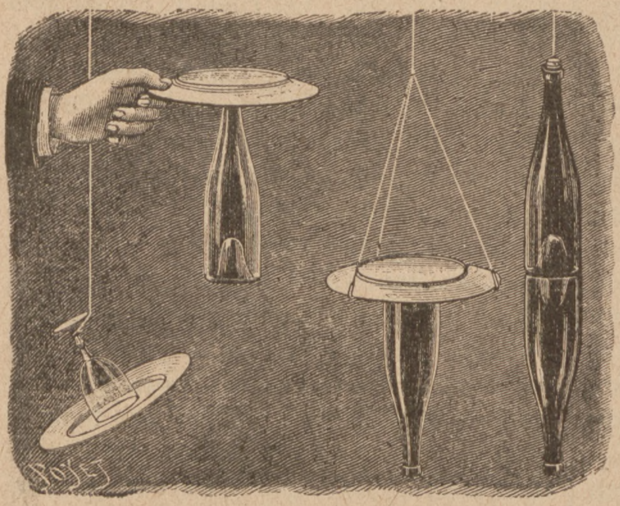
W roku 1424 posłał Jagiełło do Ołomuńca na pomoc cesarzowi Zygmuntowi przeciw Husytom 5000 jeźdźców, a w roku 1438 za Warneńczyka, wojsko zaciężne w liczbie 14,000 poprowadziło królewicza Kazimierza na tron czeski. Pospolite ruszenie tylko w pewnych warunkach możliwe było do zwołania, królowie zatem stale utrzymywali wojsko zaciężne czyli najemne. To najmowanie w wieku XV odbywało się sposobem następującym: Rotmistrz obowiązywał się królowi na warunkach ściśle określonych co do czasu, żołdu, sposobu wynagrodzenia szkód itd. wystawić rotę czyli partyę jazdy, zwykle ze 100 do 300 koni złożoną. Gdy ugoda stanęła, rotmistrz wyszukiwał między szlachtą towarzyszów, z których każdy zobowiązywał się przybyć ze swoim pocztem czyli czeladzią. Rota po łacinie nazywa się c o m i t i v a, towarzysz s o c i u s. Oprócz czeladzi czyli t. z. pachołków, niektórzy mieli w swych pocztach pacholęta czyli po łacinie j u v e n e s lub l a i c e l l i. Pacholę, czyli wyrostek nie miał zbroi ale podawał swemu panu drzewce czyli kopię przed bitwą i odjeżdżał w stronę, trzymając zapaśnego konia, którego na wypadek potrzeby podawał. Każdy towarzysz odpowiadał za porządek w swym poczcie i prowadził swoje gospodarstwo. Jeżeli rota była mała, licząc np. koni 20 do 50, to kilka takich rot łączono z sobą dla utworzonia samodzielnej jednostki bojowej, wymagającej od 100—200 koni. Jazda dzieliła się na dwie kategorye, na kopijników i strzelców. Bronią kopijników była kopia 9 łokci długa, bronią zaś strzelców był sąmostrzał czyli kusza, rodzaj łuku. Jedni i drudzy mieli oprócz tego miecze. W pierwszych szeregach jechali kopijnicy, za nimi strzelcy, którzy strzelając z kusz przez elewacyę, mogli to czynić ponad głowami kopijników. Pierwsze starcie jazdy odbywało się na kopie, po skruszeniu których, walczono na miecze, w czem strzelcy brali równy udział z kopijnikami.

Podług jeźdźców dzielono i konie na 2 rodzaje: kopijnicze były cięższe a strzelcze lżejsze. Obozy otaczano kilkoma łańcuchami czat ustawionych w pewnej odległości jedna za drugą. Piechota pomagała jeździe, zajmując stanowisku z przodu. Od roku 1486 zaczęła się w piechocie rozpowszechniać broń palna, ale jazda nie uległa jeszcze tej pokusie. Organizacya jazdy była w Polsce odmienna niż u innych narodów. Gdy n. p. roty niemieckie składały się z samych kopijników, kiryśników lub strzelców, polskie były zawsze mieszane. Długosz zapewnia, że Polacy używali trąbki a Tatarzy kotłów, później jednak zaczęli i Polacy bębnów używać.

Następny okres w dziejach jazdy stanowi wiek XVI. . Rok 1500 był rokiem pojawienia się u nas husarzów. Odtąd jazda dzieli się na usarzy i pancernych, czyli na jazdę ciężką i lekką, lubo urzędownie nazwa husarzy (usares) występuje dopiero za Batorego. »Przedtem — pisze Bielski — nasi z kuszą tylko jeździli, którą mając u pasa, schyliwszy się na koniu, a kuszę o nogę zawadziwszy, dopinali. Rohatyny uwiązawszy u łęku, przy koniu włóczyli i dla tego ją włócznią zwali. Do tego miecz był u boku, a to była własna, starożytna broń polska, którą dopiero nasi porzuciwszy, do drzewa się wzięli.« Uzbrojenie husarza składało się z pancerza, przyłbicy, tarczy i kopii; niektórzy zamiast pancerza przywdziewali płach, zamiast przyłbicy szyszak i zbroję strzelniczą. Litewscy husarze używali niekiedy zamiast kopii oszczepu i pacholąt na wojnę z sobą nie brali. W roku 1514 pod Orszą husarze byli uzbrojeni w tar-

cze i kopie. Za Batorego kopie skrócono do łokci 8-miu i wprowadzono pistolety.

Jazda w wieku XVI dzieli się tak samo jak w poprzednim na ciężką i lekką. Do ciężkiej należą husarze z drzewcami, przeznaczeni do uderzenia i łamania szeregów nieprzyjacielskich. Z regestru wyprawy inflanckiej z roku 1551, widzimy, że ich było na tej wojnie 3.350, a mianowicie utrzymywanych kosztem dworu królewskiego 1.000, wojewody wileńskiego 400, wojewody trockiego 400, kasztelana trockiego 400, biskupa wileńskiego 300, podczaszego 800 i krajczego 50. Jazda lekka t. j. strzelcza, pancerna, przeznaczona do rozpoczynania bitwy i ścigania nieprzyjaciela, uzbrojona była w łuk albo strzelbę długą i tarczę, szablę krzywą u lewego boku, oraz wiszącą u boku prawego włócznię długą na łokci 4.



Ciśnienie atmosferyczne.
(Obacz objaśnienia rycin na stronie 607).

Od roku 1546 zaczyna się ukazywać w rotach strzelczych włócznia zwana rohatyną i łuk zwany sahajdakiem. Właściwie sahajdak jest nazwą kołczana na strzały, ale także oznaczał razem łuk z kołczanem i strzałami, a ztąd łucznik nazywał się sahajdacznikiem. Hetman sahajdaczny, sajdaczny u kozaków był zastępcą, pomocnikiem hetmana buńczucznego, tak jak w wojsku polskiem hetman polny względem wielkiego. Pierwszą wzmiankę o kozakach mamy w rachunkach sejmowych z r. 1563. Formowanie jazdy zaciężnej odbywało się w ten sposób, że rycerzowi zarekomendowanemu przez hetmana, król wydawał tz. list przypowiedni, czyli upoważnienie na piśmie, do zaciągnięcia roty jezdnych, z oznaczeniem czasu, siły roty, płacy, uzbrojenia i miejsca zbioru.

W roku 1527 uchwalono na sejmie, aby rotmistrzowie nie przyjmowali towarzyszów, którzy mają więcej niż po 8 koni czeladzi. W bitwach pod Orszą, Sokalem i Newlem widzimy wśród towarzyszów młodzież z najpierwszych rodzin całej Polski. Kolumna bojowa formowała się w 4 do 6 szeregów jazdy. Kto zna historyę jazdy europejskiej — pisze Górski — ten przyznać musi wyższość szyku jazdy naszej w w. XVI nad takimże szykiem u innych narodów, gdzie kawalerya formowała się zwykle w masy wielkie i nieobrotne. Sposobem ataku doradzanym przez Łaskiego w w. XVI, posługuje się do dzisiaj kawalerya w Europie. Do jakich wyżyn doszły pojęcia o cnocie żołnierskiej, niech zaświadczą słowa Floryana Zebrzydowskiego w wieku XVI skreślone: »Acz bez strachu nie może być, gdzie wielki nieprzyjaciel, ale gdy człowiek rozważy, iż większa jest rzecz poczciwość niż żywot, tedy rozumowi dawszy miejsce a cnotą się sprawując, łacno strach odejdzie, a będzie każdy wolał poczciwą śmierć niżeli żywot.«

W dyscyplinie ówczesnej kara na czci była uważana za większą niż kara na gardle, więc też za największe tylko przewinienia stósowaną. W r. 1591 zapadła konstytucya, mocą której hetman i sądy wojenne mogły »karać tylko na gardle«, na »poczciwości« zaś nikt jeno sejm przez króla z senatem. W artykułach tegoż Zebrzydowskiego czytamy o przysiędze: »Aczkolwiek u innych panów chrześciańskich, wszędy, gdzie ludzi za pieniądze przyjmują, tedy oni na te artykuły przysięgają, jedno

my Polacy narodu swego polskiego zwykliśmy się zawżdy przeciwko panom swoim przyrodzonym dobrze a poczciwie i cnotliwie zachować, do czasu dzisiejszego i dalibóg wiecznie zachowamy. A tak u nas każdy baczenie mieć na to powinien, jakoż da Bóg, o żadnym wątpliwości nie masz.« (Dok. nast.)

ŚNIEŻNA ZAWIEJA.

OPOWIADANIE Z ŻYCIA AMERYKAŃSKICH KOLONISTÓW.

(Ciąg dalszy.)

II.

W nieco oddalonej od mieszkalnego domu budowli, przytykającej do stodoły i stajni, znajdowała się izba parobków. Byli to dwaj nad Missouri urodzeni silni i zdrowi chłopacy, zręczni do roboty, lecz także skłonni i do złych uczynków. Nazywano ich po imieniu Iim i Joe; o nazwiska ich nikt się nie troszczył.

Mieli oni bardzo ważne powody do opuszczenia miejsca urodzenia, i włócząc się po kraju w kierunku północy, trafili na fermę i pozostali w niej na korzystnych warunkach.

W lecie i w jesieni pracowali szczerze i wogóle dobrze się prowadzili, lecz podczas zimy nudzili się straszliwie, tem więcej, że w okolicy nie było żadnego szynku. Dawno już zachciewało im się porzucić fermę i udać się na południe.

Dziś wieczorem siedzieli oni w kącie izby, paląc fajki i nie zwracając na siebie uwagi podróżnego; za to śledzili bacznie każdy jego ruch.

Gdy znaleźli się w swych łóżkach, zawiązała się pomiędzy nimi rozmowa, prowadzona szeptem:

— Przypatrzyłeś się dobrze temu z czerwoną brodą? — zapytał się Joe.

— Naturalnie.

— I poznałeś go?

— Rozumie się.

— To ten szalony człowiek, co go przed półtora rokiem mieszczanie w Atchison powiesić chcieli za to, że zastrzelił handlarza, którego przedtem nikczemnie oszukał. Znam go tak dobrze, jakby był rodzonym moim bratem.

— To prawda, byliśmy wtedy w Atchison. Zabawne to było, jak całe miasto wyległo pod szubienicę, a tu tymczasem pokazało się, że w nocy wyłamał się z więzienia i ukradłszy najlepszego konia, pojechał sobie w świat. Pięćdziesięciu konnych puściło się za nim i z niczem powrócili.

— Musiał on uciec daleko na północ, w okolice, przez Indyan zamieszkane i tam się przyłączyć do handlarzy futer, o czem opowiadał.

— Jestem pewny, że choroba w Fort Lookont jest czystym wymysłem.

— Ja także.

— Może być, że swych towarzyszy zrabował i we śnie pomordował. Napewne w saniach ma pełno najdroższych futer.

— Myślałem już o tem. Byłby to niezły interes dla dwóch biednych chłopaków, takich jak my, gdybyśmy mu te zrabowane rzeczy odebrali. Dostalibyśmy za nie dużo pieniędzy i moglibyśmy wesoło żyć na południu, albo coś korzystnego przedsięwziąć.

— Przedewszystkiem wartoby się przekonać, co tam być może w saniach.

— Czemu nie? Trzeba nam pójść tylko do szopy i zobaczyć. Pójdziesz ze mną?

— Idę.

Obaj zerwali się z łóżek i zaczęli się ubierać.

Iim wziął latarnię, a Joe nóż do ręki.

Poszli do szopy i odsunąwszy zwyczajną drewnianą zasuwkę, weszli.

Po zapaleniu latarni zbliżyli się do sań i rozpoczęli poszukiwania.

Znaleźli znaczną ilość starannie w płótno obwiniętych i sznurkami związanych pakietów, po ostrożnem zaś zajrzeniu do środka, rzeczywiście ukazały się najkosztowniejsze futra różnych rodzai, a mianowicie: bobrowe, niebieskie i srebrne lisy, tudzież wydry.

— Jest tu paręset przepysznych futer — odezwał się Jim. — Ile też one są warte?

— 4,000 do 5,000 dolarów — odpowiedział Joe. — W St. Louis są kupcy, co przepłacają za podobne rzeczy.

— Nasze przyszłe szczęście byłoby zapewnione, gdybyśmy mogli sobie to przywłaszczyć. Mieliśmy już i tak zamiar porzucić fermę, a tak nie z próżnemi rękami ztądbyśmy poszli.

— Ale jak to zrobić?

— Bardzo łatwo. Nazbieraliśmy dość skórek z oposum, królików i innych podobnych, nic prawie nie wartych. Porobimy z nich takie same pakiety jak te, a te drogie futra schowamy.

— Dyabelnie ładnie pomyślane. Jutro może sobie ten rudy jechać, a później niech sobie robi, co chce.

— Niema czasu do stracenia, zabieraj pakiety.

Zamiana futer dość dużo czasu im zabrała, lecz robota była tak dokładną, że powierzchowność pakietów nie mogła zdradzić oszustwa. Wtedy zanieśli je do szopy i ułożyli w saniach.

Zamieć trwała ciągle i po niejakiej chwili ślady na śniegu zawiane zupełnie zostały.

W izbie swej podniósłszy z podłogi deskę, ukryli starannie ukradzione rzeczy.

Dokonawszy tego, obaj złodzieje położyli się spać i śniła im się taka masa dolarów, jakiej w życiu nigdy nie widzieli.

III.

Następnego ranka pogoda nie polepszyła się, a nawet zamieć silniejszą się zdawała, niż wczorajszego dnia.

— Zdaje się, że jestem zasypany tu — odezwał się Fergus, wyjrzawszy przez okno.

— Niema sposobu jechać dalej.

— Ani myśleć o tem nie można! — odpowiedział Cooper. — Na rzece w niektórych miejscach muszą być zaspy na sześć do dziesięciu stóp wysokie i nie zrobilibyście ani stu kroków naprzód. Podziękujcie Bogu, że macie dach nad głową i nie potrzebujecie pędzić na oczywistą zgubę.

— Jeśli ta zawieja potrwa kilka dni albo tygodni, to nie będę się mógł ruszyć ztąd.

— Może być. Lecz cóż na tem stracicie?

— Przyjadę za późno do Independence.

— Życie zdaje się droższe, niżeli jakiebądź interesa. Jeśli w drodze zginiecie, to i interes przepadnie.

— To prawda, lecz nie mogę przecież nadużywać waszej gościnności i być wam ciężarem.

— O tem nie ma co mówić. Podczas takiej pory, nic nie może być mi przyjemniejszego, jak mieć w domu gościa. Będziecie opowiadać przygody wasze w Czarnych Górach i nad rzeką Yellowstone.

— Z przyjemnością.

— Znana wam jest gra pocker?

— Znam wszystkie gry w karty.

— Jesteście perłą podróżnych! No, chodźmy na drugą stronę, śniadanie pewno już na nas czeka, gdyż czuję zapach świeżo upalonej kawy.

Robinowi Fergus powiodło się wkraść w łaski starego fermera. Był on ukształconym, przeżył wiele i miał dar opowiadania. To też bawił wybornie całą rodzinę kolonisty.

W grze w karty okazał tak niezwykłe zdolności, że wprawił w zdumienie starego.

Jednego zaś dnia, gdy powietrze było spokojniejsze i można było cokolwiek śnieg odgarnąć, urządzono strzelanie do celu, przyczem Fergus wykazał wprawę tak znakomitą, że przewyższył fermera tudzież dwóch jego synów. Potrafił nawet ściągnąć na siebie spojrzenia Judyty i zdawało się, że pomiędzy nimi zawięzuje się wzajemna skłonność...

Słuchała ona chętnie, gdy opowiadał sceny z dzikiego życia myśliwca w Górach Skalistych, o walkach z Indyanami, niedźwiedziami, wilkami i inne podobne przygody.

I nie może być inaczej. Dla córki fermera tylko odwaga, śmiałość i stanowczość mężczyzny może mieć powab. Zresztą wybór żaden się nie przedstawiał, mogły przejść lata, zanim znalazłby się ktoś, któryby w odludnej tej fermie zechciał szukać żony dla siebie. Matka jej podzielała te myśli, a dla starego fermera byłoby bardzo wygodnie mieć sąsiadem a zarazem i zięciem tak miłego człowieka, jakim był Robin Fergus.

Już od sześciu dni bawił w fermie gość i nie zabierał się wcale do odjazdu, chociaż zawieja dawno ustała.

Wprawdzie nastąpiła odwilż i przez ogromne masy śniegu trudno się było przedostać.

— Na mój honor, panie Cooper, nie żałuję, że mię zawieja tak długo tu zatrzymała, gdyż nigdy w życiu nie spędziłem tak przyjemnych chwil, jak tu — rzekł pewnego razu Fergus.

— Cieszy mię to serdecznie, — odpowiedział fermer z zadowoleniem. — Ze swej strony wyznać muszę, że byliście najmilszym i kochanym gościem dla mnie. Pragnąłbym was posiadać jako mego sąsiada.

— Doprawdy?

— Moje słowo na to.

— Przyznaję, że okolica ta podoba mi się, a w lecie musi być tu bardzo pięknie. Gdybym się tu osiedlił w sąsiedztwie, mógłbym corocznie robić myśliwskie wycieczki na północnozachód, gdyż nie jest ztąd bardzo daleko do okolic, obfitujących w zwierzynę.

— Złożyłoby się to bardzo dobrze, gdyż dla myśliwego nie możnaby znaleść odpowiedniejszego miejsca na osiedlenie się.

— Dwadzieścia lat prowadziłem awanturnicze życie i wzdycham do spokojnego własnego domu.

— Łatwo to zrozumieć!

— Jeśli panna Judyta zechce, to będzie mogła robić ze mną, co jej się tylko spodoba. Tak, jeśli tylko zechce, to pozostanę tu, wykarczuję z dziesięć akrów i wybuduję dom. (Dok. nast.)

* Objaśnienia rycin. *

Ciśnienie atmosferyczne. Spojrzawszy na rysunek pomyślicie zapewne, że te szklanne naczynia są poprzyklejane do talerzy za pomocą jakiegoś cementu. Bynajmniej; przylegają one mocno dzięki ciśnieniu powietrza, które, jak wam wiadomo ma swój ciężar i przygniata nim przedmioty znajdujące się na powierzchni ziemi. Jeżeli, wyciągnąwszy rękę, nie czujemy ciśnienia powietrza, to dlatego tylko, że ugniata ją ono od góry i z pod spodu z jednakową siłą. Gdybyśmy jednak wypompowali z pod ręki powietrze odrazu poczulibyśmy ogromny ciężar. Tak samo ma się rzecz z butelkami.

Ażeby jednak wypróżnić zupełnie z powietrza butelkę, musielibyśmy mieć do tego specyalną pompę tak zwaną pneumatyczną; zadowolnimy się więc wywołaniem w butelce częściowej próżni; trzymamy ją więc do góry dnem ponad parą wodną: ta będąc lżejszą od powietrza, wypędza je, zajmuje jego miejsce; niebawem jednak stygnie, wskutek tego kurzy się, część wnętrza butelki pozostaje nie zajętą, mamy więc cząstkową próżnię; powietrze zewnętrzne ciśnie silniej, aniżeli para zawarta w butelce: ta ostatnia przylgnie więc mocno do talerza; powinniśmy tylko oblepić górny brzeg szyjki woskiem, ażeby się powietrze nie dostało do wnętrza.

W kieliszku możemy rozrzedzić powietrze, spaliwszy pod nim kawałek papieru; powietrze od ciepła rozrzedza się z początku, potem zaś kurczy się; jeżeli więc, zaraz po zgaśnięciu papierka przyłożymy kieliszek do talerza, to zewnętrzne powietrze, cisnące silniej od rozrzedzonego a zawartego w kieliszku, przygniecie go do talerza silnie.

Zamiast rozrzedzać powietrze wewnątrz butelek, możemy zrobić to samo we wklęsłościach znajdujących się u spodu; w takim razie butelki będą się trzymały dnami. Butelki złączone dnami i butelka przylepiona dnem do talerza, są to najłatwiejsze doświadczenia.

Widok zamku Piastowskiego w Lignicy. Dzisiejszy zamek Lignicki wznosi się na gruzach starego zamku Piastowskiego, zniszczonego dwukrotnie przez pożary. Kiedy stary zamek założono, nie wiadomo; dokument klasztoru Lubuskiego z 1178 wspomina kaszte-

lana z Lignicy. Zamek przeto już prędzej musiał być wystawiony. Z kronik, opisujących napad Tatarów, wiemy, że w owych czasach zamek Lignicki bardzo był warowny i nie poddał się nieprzyjaciołom. W późniejszych czasach, mianowicie gdy niebezpieczeństwo ze strony Husytów zagrażało, obwarowano także miasto i wybudowano dwie wieże okrągłe, do dziś istniejące, wieże św. Piotra i św. Jadwigi. W szesnastym wieku ulepszono znowu obwarowanie zamkowe i miejskie. Na murach miejskich wznosiło się wówczas trzydzieści wież obronnych. Wszyscy uważali Lignicę za jednę z najmocniejszych fortec. Zamek sam przedstawiał się wspaniale i chyba książęcy zamek w Brzegu mógł się z nim mierzyć. W r. 1675 umarł ostatni książę z rodu Piastów, Jerzy Wilhelm. Cesarz niemiecki zajął księstwo Lignickie a w zamku osadził swojego gubernatora. W Wielki Piątek 1711 roku wybuchnął ogień w kaplicy zamkowej św. Wawrzyńca i zniszczył w krótkim czasie wspaniałą budowę. Wprawdzie wzniesiono zamek z gruzów, lecz już nie w dawnej wielkości i wspaniałości. Fryderyk II, król pruski, kazał w drugiej połowie przeszłego stulecia mury w około miasta i zamku zburzyć a zamek oddał do użytku regencyi. W r. 1835 spłonął zamek po raz drugi, odbudowano go na nowo podług planów sławnego budowniczego, Schinkla tak, jak się obecnie przedstawia. Ze starego zamku pozostała tylko piękna brama wjazdowa.

ROZMAITOŚCI.

* **Trzęsienia ziemi w Polsce.** Od tych zaburzeń wnętrza kuli ziemskiej nie były wolne krainy polskie, aczkolwiek nawiedzane przez nie rzadko i niezbyt szkodliwie. Kronikarze nasi a zwłaszcza Długosz, który zebrał wiadomości ze źródeł dawniejszych, następujące podają daty o trzęsieniach ziemi w Polsce: 1) »Rok 1000-ny przyniósł ze sobą wiele osobliwych zjawisk, a zwłaszcza trzęsienia ziemi pełne groźby i postrachu.« 2) »Dnia 5-go maja r. 1200 trzęsienie ziemi w Polsce i krajach przyległych, przypadłe w samo południe i w następnych dniach po kilkakroć powtarzające się, wiele powywracało wież, domów i grodów, co iż w polskim kraju rzadko się wydarza, wzięte było za dziw wielki, a niektórych przesadną napełniło trwogą.« 3) Dnia 31-go Stycznia r. 1257, około godziny zwanej tercyą (hora tertiarum), w Krakowie i we wszystkich miastach i krainach polskich było trzęsienie ziemi, które u Polaków, niezwyczajnych takiego zjawiska, stało się dziwem straszliwym.«

4) 1258 roku było trzęsienie ziemi, które się dało uczuć w całej Polsce, a także w Czechach, Rusi i Węgrzech«. 5) Dnia 5-go Czerwca r. 1443 było trzęsienie ziemi w Polsce, Węgrzech, Czechach i krajach sąsiednich tak gwałtowne, że wieże i gmachy murowane upadały na ziemię i najtrwalsze waliły się budowy; rzeki powystępowały ze swoich łożysk i wylawszy na obie strony, ukazały dna suche, a wody wszystko zmuliły; ludzie nagłym strachem zdjęci, od zmysłów i rozumu odchodzili. Runęło od tego trzęsienia ziemi w nocy sklepienie św Katarzyny przy klasztorze braci pustelniczych św. Augustyna na Kazimierzu (w Krakowie) i wiele innych pozwalało się budynków. Mocniejsze jednak było trzęsienie ziemi w Węgrzech, gdzie się nawet zamki niektóre powywracały.« W Polsce mniemano, że od tego trzęsienia ziemi stała się ziemia mniej urodzajną i przez wiele lat potem kąkol, chwasty i pszenicę ze śniecią rodziła. Oprócz powyższych pięciu trzęsień ziemi w Polsce, Długosz wspomina jeszcze pod r. 1348 o trzęsieniu, »które wydarzone w Piątek, w dzień nawrócenia św. Pawła, rozległo się po wszystkich krajach chrześciańskich i barbarzyńskich«, nie pisząc wyraźnie czy było i w Polsce. Także zaznacza dwa wielkie trzęsienia ziemi: we Włoszech r. 1279 i w Bazylei r. 1344.



Gdzie jest młody słoń?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 23-go Września 1897. **Nr. 38.**

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Misyonarze chrześciańscy w Chinach.

Z pobytu poselstwa rosyjskiego w Chinach, na czele którego stał książę Uchtomski, wysłany z podarkami od cara do bogdyhana, »Nowoje Wremia« zamieszcza interesujące korespondencye swego współpracownika, który wraz z misyą księcia Uchtomskiego udał się jednocześnie do Pekinu. Poświęciwszy kilka listów samej podróży podaje korespondent szczegółowy opis z Tien-tsin, miasta portowego przy ujściu rzeki Pej-ho, o życiu i warunkach misyonarzy katolickich, przebywających w tem mieście, a zarazem i o zaszłych w ostatnich czasach wybrykach, jakich się od czasu do czasu dopuszczają wyznawcy Konfucyusza i Budhy przeciw misyonarzom, szerzącym religię chrześciańską.

»Katolickie klasztory chętnie przyjmują małoletnich Chińczyków, przyprowadzonych przez ubogich rodziców, dla nawrócenia na wiarę chrześcijańską i ochrzczenia. Biedni rodzice otrzymują za to niewielkie wynagrodzenie (3—5 dolarów). Ofiary te pieniężne pobudziły jednak niecnych Chińczyków, zajmujących się kradzieżą dzieci, do rozwinięcia usilniejszej działalności w chwytaniu małoletnich, a klasztory wiedząc lub nie wiedząc o tem, przyjmują przyprowadzone dzieci przez różne osoby i zapisują je jako nawróconych na wiarę katolicką. W ogólności kradzież dzieci — rzecz w Chinach powszechna. Dziewczęta kradną dla zapełnienia domów rozpusty, chłopców zaś — dla tego samego celu, lub dla adoptacyi. Chińczyk bezdzietny, to istota nieszczęśliwa. Jeżeli Chińczyk niema syna, adoptuje swego krewnego, albo kupuje dla siebie chłopca od ubogich rodziców, lub co najczęściej, od — złodziei. Prócz tego, dzieci kupują aktorzy i żebracy. Dla zaspokojenia potrzeb ludności, co roku w końcu wiosny, podczas pełni księżyca podług chińskiego kalendarza, z przybyciem z południa dżonek (małych okrętów) z ryżem, przyjeżdżają do Tien-tsin i handlarze dzieci. W roku bieżącym ceny na dzieci, ekspedyowane na południe, znacznie się podniosły, w skutek tego kradzież małoletnich płci obojga z północy przybrała nadzwyczajne rozmiary. Eskamoterzy miejscowi obawiając się zemsty ze strony rozdrażnionych mieszkańców, skorzystali z mającego nastąpić otwarcia katolickiego kościoła i rozpuścili wieści, że dzieci chwytają na ulicach katolicy. Były także nawet drukowane proklamacye, wzywające naród do zgładzenia ze świata katolików i w tymże czasie dokonano morderstwa na kilku niewinnych Chińczykach. Niedawno n. p. jeden z Chińczyków, katolik, szedł przez ulice, a za nim podążał chłopiec około lat dziesięciu. Naprzeciw nich zaś postępował wzburzony tłum, który napadł na bezbronnego Chińczyka i zaczął krzyczeć: »Oto złodziej dzieci! on zaczarował tego chłopca!« Zatrwożony Chińczyk na razie nie wiedząc, co ma odpowiedzieć na swoje usprawiedliwienie, począł prosić zebrany naród, ażeby zapytano chłopca, czy to jest prawdą, o co go obwiniają. Tłum tak też i uczynił, lecz chłopiec się zląkł i na zadawane pytania nie mógł ani słowa wymówić. To dało powód do mniemania tłumowi, że chłopiec jest zaczarowany i wszyscy chórem zawołali: »Zobaczyć, czy on ma naznaczony olejem krzyż na głowie!..« Tłum usilnie żądał zobaczyć ten krzyż — rzeczywiście zobaczył. Na nieszczęście Chińczyk ten był laikiem klasztornym; został więc pochwycony i odprowadzony do zarządu policyi. Tu go przesłuchano i wypuszczono wnet na wolność, obwieszczając zaciekłemu ludowi: »Jeżeli chcecie, badajcie go sami, bo policya uznała go niewinnym«. Wo-

bec tego, tłum wziął go na indagacyę i potem, jak zwykle, wydał wyrok — rozprucia mu brzucha, czego też wnet dokonano. Jeden ze świadków, przerażony tym widokiem, wyrwał się z tłumu i począł śpiesznie się oddalać; zauważono to zaraz i rozszalony tłum puścił się za nim, biorąc go za wspólnika zabitego laika. Wnet i tego spotkał taki sam los. Po tej strasznej scenie tłum biegł dalej ulicami, a napotkawszy po drodze idących misyonarzy, Portera i Smitha, począł na nich rzucać kamieniami. Misyonarze ci jednak, broniąc się wystrzałami z rewolwerów, uniknęli strasznej śmierci.«

Chwilowo fanatyczny tłum uspokoił się, bo sąd wojenny, wskutek nalegań konsula amerykańskiego, skazał dla przykładu jednego z eskamoterów dzieci, Wej-pu, z miasta Ning-ho na śmierć. Dostarczał on chłopców po 30 diao pekińskich (około 5 złr.) rozmaitym osobom. Mimo to tajne towarzystwa, których roje całe znajdują się w Chinach, nie drzemią i być może niezadługo znowu znajdą jaki pozór przeciw katolikom. W każdym razie posłowie i konsulowie europejscy w Tient-tsinie dotkliwie są temi zaburzeniami zaniepokojeni.

BEZDOMNI.

OBRAZEK Z PODKARPACIA.

— Mamo! daleko jesce?

— Z pół mili... Zaroz będą chałupy za tym lasem. Zimno ci Jasiu?

Taką urywaną rozmowę wiodło dwoje ludzi — matka i syn. Matka szła naprzód, torując drogę synkowi w zaspach śniegowych; a ile razy głębiej zapadła, — zwracała się do dziecka, mówiąc:

— Jasiu! ostróżnie, obejdź bokiem...

— Dobrze, mamusiu, dobrze — szeptał zmarzniętemi wargami chłopiec, usta zacinał i nie skarżył się biedny, choć mróz do serca zaglądał... I teraz, gdy matka pyta go: — Zimno ci Jasiu!... — on odpowiada: — Nie, mamusiu, nie... — A odpowiedź ta drżąca, jak głos potrąconej struny, potwierdza pytanie, choć słowa kłamią rzeczywistości...

Dwoje ludzi w walce z zaspami śniegu, dwie nikłe istoty, uczuciem gorące, w zapasach z bezgraniczną, zimną, martwą naturą... Kto zwycięży? człowiek czy bezduchowy ogrom?...

— Mamo! daleko jesce?... — pyta Janek.

— Zaroz, zaroz, ino pójdź Jasiu, nie ustaj!... — błaga matka. — Za mną, za mną... — i kolanami kraje stężały śnieg, ostatnich już prawie dobierając sił...

Czuje, że słabnie — ale i to czuje, że musi iść, inaczej zimna śmierć otuli ją i Janka...

— Zeby się ino śnieg nie porusoł! zeby ino wiatru nie było!... — mówi do siebie szeptem niezrozumiałym, a tu, jak na odpowiedź wicher powiał od lasu i ostrym śniegiem w twarz jej rzucił...

— Boze!... — szepnęła tylko i dalej stawia omarzłe nogi martwe, szkieletowe... a za nią wolą raczej niepojętą niż siłą, stąpa w ślady skostniałe dziecko otulone »paruchą,«*) którą matka zdjęła ze siebie.

Chwilę ciszy — i wicher zerwał się jeszcze gwałtowniej, niż przedtem, sprzągł wszystkie tumany i ostrą śnieżycą ku obłokom podrzucał...

— Mamo...

— Co? moje dziecko?...

— Mamo... — szepleni pacholę niewyraźnie, i skulone opiera się o twardy śnieg...

— Jasiu! jak ino mozes... juz niedaleko!... — błaga matka, a w głosie jej drgają wszystkie struny: miłości, prostej i bezgranicznej rozpaczy... Zdejmuje chuścinę z głowy, otula główinę dziecka...

— Jasiu! dziecię moje! jesce kawałecek...

— Nie mogę... mamo... — szepce coraz ciszej, i bezsilnie opada na martwe łono śnieżne...

Matka stanęła, łamie skostniałe dłonie, a wicher, jakby okropności chciał dodać jeszcze temu przerażającemu obrazowi, rozwiał jej włosy czarne, i straszną była w tej niemej, beznadziejnej rozpaczy...

Śnieżyca-matka, widząc swe uosobienie, ostrymi pocałunkami drapie ją po twarzy...

— Jasiu... — szepce przez zęby i nachyla się do dziecka, którego wzrok szklany, bez wyrazu na nią zwrócony, odebrał jej resztę sił... Pragnie go podnieść i sama na kolana upada... Mróz ścisnął je, przywarł do ziemi i ziębiąc krew, pchał się do serca...

— Boze... za co mnie karzesz tak strasznie?... tu... bez księdza...

Pragnie się podnieść, kolana przywarły do śniegu.

---

* Parucha = lniana płachta.

— Wygnali z chałupy... bez serca... — Nie dokończyła, ostatek rozpaczy uleciał z przekleństwem.

Ból straszny ściskał serce, wyżerał oczy i promieniami rozchodził się po ciele... Wargi chciały jeszcze modlitwę szeptać... myśl ją dokończyła... może na drugim świecie...

Błyszczały dyamenty śnieżne, mieniąc się barwami w świetle gwiazd, które rzadkiemi oczkami patrzały z poza czarnej mgły... błyszczały gwiazdki po śniegu, a cztery większe od innych, jak rzadkie okazy dyamentów wśród piasku drogich kamieni... błyszczały oczy zamarzłych.

* * *

Litośny wicher rzucał śniegiem na cielesne trumny — i rosła... rosła śnieżna mogiła...

I uszło trzy dni... Czas płynie wartko. Wioska biała promienieje gwiazdkami śniegu w ciepłem świetle słońca.

Ludzie z blizka od kościoła, spieszą po skrzypiącym śniegu na mszę św. Zdalsza nie dojdzie, bo zaspy.

— Komu to wcora dzwonili? — pyta stary gazda kobiety już niemłodej...

— E wiecie... tej od Chowańca...

— Umarła?...

— Toście nie słyseli?... Umarzło biedactwo kiesi*) razem z dzieckiem. Wypędzili z chałupy — ta i posła na noc... Naleźli ją dopiero na drugi dzień — pod zaspami... Narobiło się to, narobiło! — i wygnali, skoro juz sił nie stało, jak nieprzymierzając psa...

Stary pokiwał głową, a idąc ku kościołowi, szeptał wieczne odpoczywanie i pięć pacierzy — za duszę komornicy... Przecie i jemu robiła... »A było to pracowite«, pomyślał... »Tak marnie... Przecię to ludzie gorsi od zwierząt... przecię... wygnać na mróz...« i znowu począł: »Wieczne odpoczywanie...«

Wł. Orkan.

*) Kiesi = przedwczoraj.

Przejażdżka na morzu.

Zorza północna.

Na czystym błękicie nieba błyszczały wesoło gwiazdy, mróz był silny, ale tak sucho w powietrzu, że nie można się było nasycić jego balzamem. Chcąc dłużej używać przyjemności pogody, wsiedliśmy z kapitanem do łodzi odwożącej Dra W. do Lashafu; droga prowadzi około języka skalistego, wdzierającego się do zatoki i dzielącego ją na dwa porty. Nie żałowaliśmy naszej wycieczki, natura północna dała nam bezpłatne przedstawienie, jakiego żaden teatr świata, a może i Etna sama nie przedstawiła nigdy śmiertelnym. Któż może sobie wystawić, czem jest zorza północna, jeżeli pod północnem nie widział jej niebem? Jakie pióro dość śmiałe, jakież porównanie dość godne do odmalowania tej boskiej dekoracyi wiecznego nieba?

Uderzył nas najprzód obłoczek świecący, białawy zawieszony w północnej stronie firmamentu. Nie widziałem nigdy nic podobnego i z zadziwieniem wpatrywałem się w ową gazę srebrną, pływającą wysoko w powietrzu; ale nie zostawałem długo w zawieszeniu; ognisko światłem rażące ukazało się w środku obłoczka, rzuciło niezmierne promienie na przestrzeń nieba, i od razu całe jego sklepienie pokryło się olbrzymiemi, najrozmaitsze kształty przybierającemi widmami. Ogniste snopy błyskawic, długie, pałające miecze zabłysły; wulkany zalewające żarem i lawą świat cały, race szybsze jak myśl, przebijały powietrze. W czystym eterze niebios igrały najbogatsze kolory; tu walczy purpura z jaskrawym fioletem, tam szmaragdy igrają z czarnymi dyamentami; w jednej chwili wszystko przybiera postać szerokiej, opasującej niebieską hemisferą tęczy, z której pryska na kulę ziemską, deszcz ognisty. Nikt nie zdoła opisać uroku, pod jakim pozostawaliśmy niemi i zaledwie oddychający: »Boże odwieczny, czy ty nam zastąpienie Swe na ziemi zwiastujesz? myślałem i czyś otworzył bramy wiecznego raju?«

Nieustające zmiany kształtów i kolorów następowały jedne za drugimi; wszystko znikło w oka mgnieniu, zostawiając po sobie najczarniejszą ciemność, nieprzejrzałą dla gwiazd nawet; wszystko się znów zapalało razem nieskończoną łuną, jak gdyby gorzał świat cały, gorzało niebo; woda morska w krew się zamieniła i rubinami toczyła, a skały śniegim pokryte zalała purpura i obsypały brylanty; wszystko żyło, wszystko się poruszało, ale w zupełnej cichości, zastraszającej kontrastem, zdaje się, że natura własnem dziełem zadziwiona, milczy; a może też milczy, bo nie wydała jeszcze żadnego głosu, godnego wtórować majestatycznym zjawiskom zorzy północnej.

Trwały te cuda więcej jak dwie godziny; pociągani pomimowolnie ku nim, jak gdyby magnetyczną siłą, wy-

płynęliśmy z portu na otwarte morze i w zachwyceniu zapomnieli wszelkiej ostrożności; dopiero kiedy zorza północy przestała oświecać widnokrąg i pogrążyła zniknięciem świat cały w grubą ciemność, poznaliśmy, że nie widać ani brzegów, ani portu i że odpływ morza zaniósł nas za daleko w swe głębie. Szczęściem, że latarnia Tahrsundska wskazywała nam kierunek, jakiego się mamy trzymać w odwrocie. Wiosłami walczyliśmy prawie dwie godziny z odpływem i powiewem od lądu; stanęliśmy nareszcie znękani pracą w porcie, wylądowali doktora i sami dalej do miasta dopłynęli.

Praktyczne rady.

— **Mocny i dobry chrzan** uzyskać można w następujący sposób: Na wiosnę, skoro tylko ziemię można uprawić, wydobywa się korzonki, mające około 30 cm. długości i 1—1,5 cm. grubości i płatkiem wełnianym ociera się zaraz z wszelkich korzonków bocznych. Następnie za pomocą kołeczka sadzi się te korzenie w dobrej, lub należycie zasilonej przed rokiem ziemi, ukośnie, prawie leżąco, w kierunku z północy ku południowi. Odległość rzędów wynosić ma 0 8—1 mtr., odległość krzaków w rzędzie 65 cm. Takie ukośne położenie korzeni ma tę korzyść, iż przy lekkiem przykryciu ziemią wystawione są na silniejsze oddziaływanie słońca, aniżeli przy wzroście pionowym, rosną silniej i nabywają mocy i smutku. W jesieni mogą już być wyjęte do użytku. Swieży nawóz składać się może tylko z kompostu, obornik wywołuje plamistość i pękanie podłużne. Ziemia jałowa daje chrzan zbyt gorzki i cienki.

— **Firanek** nie należy nigdy mączkować, jeśli się mają dobrze po wypraniu układać.

Rozmaitości.

* **Masło z zapachem różanym.** W Anglii — jak donosi »Przegląd Mleczarski« — na stołach wykwintnych pojawiło się obecnie masło perfumowane zapachem różanym i znalazło od razu amatorów. Mleczarnie, które się wyrobem tego masła trudnią, wonieją wewnątrz, jak sklep kwiatowy, lub perfumerya. Skoro masło świeże wyjdzie z masielnicy, formują je w małych ozdobnych foremkach, a potem każdy kawałek osobno zawija się w delikatny muślin i układa na warstwie listków różanych, nasypanych na dno glinianego naczynia. Na wierzch sypie się znowu warstwa róży, dopełnia do reszty naczynie kawałkami lodu i przykrywą wszystko szczelną pokrywą. Tak pozostaje masło przez 10 godzin, zanim nabierze dostatecznie silnego zapachu, by mogło iść na sprzedaż.

* **Karty do gry.** Może nikt się nawet nie zastanowił nad tem, gdzie i ile wyrabia się kart do gry, chociaż i ten produkt dostarcza chleba a rządowi podatku stemplowego. Wykazy urzędowe pouczają nas, że w Austryi znajduje się 19 zakładów, w których się karty wyrabia; zatrudniają one 235 funkcyonaryuszy, 25 drukarzy i 17 malarzy, co prawda nie artystów. W roku ubiegłym fabryki te sporządziły 1,718,260 talii kart, które w Cislitawii mają 8,533 miejsc zbytu, a także wędrują do Ameryki, do Belgii, Bośnii, Bułgaryi, Czarnogórza, Serbii i Turcyi. Zagranica zapotrzebowała w ro‹u 1896 przeszło połowę bo 931. 710 talii. Do Austryi natomiast z zagranicy importowano 2,985 talii. Najwięcej wyrabia się kart t. z. »niemieckich«, a następnie tarokowych, najmniej zaś wistowych i pikietowych. Stempel karciany przyniósł w r. z. skarbowi 344,914 złr. 20 ct.

* **Druty elektryczne,** rozciągnięte wzdłuż ulic nad torami kolei elektrycznych gdyby opadły, mogłyby spowodować nieszczęście. Tak się zdarzyło w Gdańsku, Na moście »Milchkannenbrücke« drut taki nie dość wyprężony dotknął się wierzchołka wagonu tramwajowego i w tej chwili nasycił elektrycznością wszystkie części metalowe tego wagonu, przeto wagon zdawał się być napełniony licznymi płomieniami, poczem upadł na pokład drewnianego mostu w pobliżu szyn, a iskry elektryczne pokład ten w zetknięciu się z drzewem zwęgliły i zaraz się zaczęły wytwarzać kłęby dymu. Przywołana straż szybko usunęła dalsze palenie się drzewa, a po 20 minutach znów komunikacyą przywrócono.

* **O używaniu soli** do pokarmów dla ludzi pisze lekarz angielski Goember: Szkodliwie wpływa na zdrowie ciała niedostatek soli. W pięciu litrach krwi ciała ludzkiego jest zawarte 11 gramów soli, na tysiąc części krwi winno być 6 części soli. Jeżeli jednak soli jest zawiele, wtenczas cierpią na tym zbytku nerki człowieka. Mylną jest zasada, że obfite spożywanie soli wzmacnia człowieka; dzieje się przeciwnie, bo to osłabia. Jeżeli nerki zbytku soli nie zdołają przetrawić, wtedy krew szuka sobie innej drogi wyjścia i z tego powstają choroby, z tych powodów należy soli używać w miarę, instynkt człowieka winien sam regulować ilość w pożywieniu.

* **Konserwacya drzewa.** Jedna z angielskich gazet podaje nową metodę konserwacyi drzewa. Polega ona na tem, że w nafcie rozpuszcza się oleje i ciężkie substancye woskowate, pozostające przy destylacyi oleju skalnego, a roztwór ten wtłacza się w drzewa ścięte w sposób taki, jak to się czyni z kreozotem. Drzewo ogrzewa się następnie, przyczem nafta się ulatnia, substancye zaś woskowate pozostają w drzewie i czynią je nieprzenikliwem.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.